

M. JOKAJ.

## RODZINA BARDY

NOWELA.

1)

Droga Ojczyzno moja.  
Cudowny Ty mój raju.  
Czem jesteś? Co się stało z Tobą?  
Obym Cię był nie widział tak pięknej nie-  
gdyś lub nie widział tak spustoszonej teraz.  
Obym Cię był nie widział tak zniszczonej  
lub miał nadzieję, że zakwitniesz kiedyś!  
Droga Ojczyzno moja!  
Cudowny Ty mój raju...

\* \* \*

Drży pióro w ręku, ściska się serce, płakałbym.

Płakać będziecie i wy, czytając te słowa, jak ja płakałem, kiedyś je pisałem.

Będziecie szczęśliwi, jeśli uwierzycie, że ta gorycz nie jest prawdą, tylko utworem poety, który w przykrych chwilach spisuje okropne obrazy swych marzeń gorączkowych.

Obym i ja mógł uwierzyć, że to wszystko tylko marzenie, że wspomnienia które mi krwawe przedstawiają postacie, są skutkiem ciężkiej słabości. Obym i ja mógł uwierzyć, że tyle nieszczęść, tyle cierpień — to widzenie zbolalej mej duszy, a te krwawe zgnębane postacie to nieistniejące utwory wyobraźni.

Obym nie widział był tych miejsc, o których mówię — obym był nie znał ich mieszkańców.

Obym mógł powiedzieć: nie wiercie, nie przerażajcie się tem, wszak to sen tylko, obudzimy się i nie ujrzymy go więcej.

\* \* \*

Jesteśmy daleko w górach Siedmiogrodzkich. Prześliczna okolica! Ze szczytów gór w piękny dzień rozciąga się widok aż do Rézajla we Węgrzech. Złączone góry zdają się wstępować jedna na drugą, pokryte gęstym lasem, który dopiero teraz zaczyna się zielenić. Nad wieczorem spływają dalekie szczyty w kolor liliowy tylko krańce ich w złotawej odbijają barwie.

W dali pod wykarczowaną górą bieleje dwór, wzniesiony w miejscu, z którego najpiękniejszy rozciąga się widok, przed nim w oddali ogromna skała z krzyżem na szczycie. W kotlinie widać wioskę, której dzwonek wieczorny tak cudownymi dźwiękami w jeden z naturą spływa akord.

Jeszcze dalej pod lasem widać odartą chałupę, a huk z niej się wydobywający i tuż obok płynący brudno-żółty strumyk pozwala się domyślać, że to kuźnia.

Jeszcze dalej w lesie, słychać wśród ciszy podwójne uderzenie młotów, a rozpostarta w ciemnej nocy czerwona luna, wskazuje nam miejsce huty żelaznej.

Na dnle doliny, tworząc co sto kroków wodospady, pienia się srebrzyste fale wijące się rzeki, która w miejscach, gdzie się w czasie topienia śniegów podnosi, zarzuca całą okolicę kamieniami, zniesionymi z gór.

Z wioski wiję się zygzakiem w górę droga dworu, a dalej, między dwoma szczytami, widać strumień, przez spadek wody wyżłobiona droga do jakiejś dalszej miejscowości.

Sam dwór tworzy ze smakiem wybudowany pałacyk z zielonemi żaluzjami. Miejsce, na którym stoi, zasadzone olbrzymimi kasztanami, podwórce ozdobione dziwno-kształtnymi grządkami, pełnymi kwiatów, wczesnych hyacenty, anemonów, a przez okno, otwarte dla wiosennego powietrza, wygląda od czasu do czasu wesoła główka dziecinna.

Cały dwór okolony gęstymi żelaznymi sztachetami, po których wiję się bluszcz ze swymi wiecznymi zielonemi liśćmi.

Na początku wiosny 1848 roku trzynastu osób siedziało przy stole w sali jadalnej tego dworu.

Wszyscy należą do jednej rodziny. Wszyscy noszą imię Bardy.

Na przodzie w białym czepeczku siedzi siwa staruszka Antoniowa Bardy, licząca wyżej osmdziesiąciu lat, jej włosy dziwnie zaczesane, białe jak mleko. Twarz bez życia, blada, zmarszczona, oczy zapadłe, zgarbiona postać, a oczy zwrócone ciągle na ziemię, jak u ludzi, którzy już nic nie widzą, ręce się trzęsą, a głos drży, tem więcej w dużych, białych brwiach tkwi coś szczególnie zachwycającego.

Obok niej po prawej stronie siedzi jej najstarszy syn Tomasz Bardy, mężczyzna w wieku między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem. Dumna twarz o zmarszczonym czole, włosy gęste, ledwie przyprószone siwizną, broda czarna, oczy przenikające bystrym wzrokiem, postać wysoka, prosta, dumna. Żywy typ średniowiecznych arystokratycznych postaci.

Naprzeciw niego siedzi faworyta rodziny Joanna, skromne piętnastoletnie dziewczę anielskiej piękności. Duże błękitne jej oczy, przysłonięte długimi, jedwabnymi rzęsami, jasne oblicze przeźroczyście białe, zabarwiający się tylko podczas uśmiechu, jasno-blond włos gęsty, delikatny jak jedwab. Dziewczynka ta nie należy właściwie do rodziny, jest to sierota po bardzo dalekiej krewnej, którą rodzina Bardy przyjęła do siebie, nie mogąc dozwolić, aby właścicielka tego samego co oni imienia, żyła w niedostatku. Właśnie dlatego stała się ulubienicą całej rodziny, bo od wyświadczenia jej dobrodziejstw nie mógł się usunąć żaden członek rodziny, ale owszem uważał to każdy za atrybut należny sierocie.

Tylko dwie kobiety było jeszcze we rodzinie. Jedna wdowa, Katarzyna, córka głowy rodziny, od kilku lat odziana żałobą, druga młoda mężatka, żona najmłodszego syna pana Tomasa. Obok niej siedzieli w małym poręczowym krześle mały chłopiec, trzymając w łusciuchnej ręczce srebrną łyżeczkę, którą wywija i hałasuje ustawicznie. Dopiero uczy się jeść i mówić. Cała rodzina odgaduje co mówi i co lubi najlepiej.

Dalej siedzi dwóch mężczyzn, jeden z nich to mąż młodej matki. Piękna regularna twarz z czarnym wąsem tchnie szczęściem, ciągle uśmiechnięty, rzuca drobne galki to na syna, to na żonę...

Ów podsadkowy, barczysty mężczyzna, ze śladami ospy na twarzy, to brat pierwszego, Barnabasz, znany z olbrzymiej siły, zachmurzony, małowolny, ogromne swe ręce położył na stole; włos jego po chłopsku w tył zaczesany, wskutek ospy nie nosi ani wąsów, ani brody, ramiona szerokie jak u Herkulesa, zresztą co chwila widać staranie się jego, aby odrażającą swą postać osłonić uprzedzającą dobrocią.

Obok niego siedzi małe, skarłowacie dziecko. Błada, zgnęmana twarz tego dziecięcia ma wyraz łagodności, tak zwykłej u tego rodzaju ludzi. Rzadki włos, kościste ręce i wykrzywione ramie jego wzbudzają politowanie. To wnuk tej staruszki, którego już dawno odumarli rodzice.

Po drugiej stronie siedzi dwoje jednakowo ubranych dzieci, mających najwięcej pięć lat, a tak do siebie podobnych, że można je co chwila pomieniać. To bliźnięta i dzieci tych młodych małżonków.

Przy drugim końcu stołu siedzi dwudziestoletni młodzieniec. Znamionuje go przystojna, pełna życia twarz, wysmukła postać, przyjemne obejście się, broda, dopiero co wykluwający się wąsik i gęste, w naturalnych kędziorach spływające włosy. Jest on jedynakiem znajdującego się na przodzie naczelnika rodziny.

Obok niego przy samym końcu siedzi starzec. Białe posiwiaste jego włosy, a twarz zakwitła w pas od wina. Spokrewniony w pierwszej linii z głową rodziny, tu się postarzał z nim razem Szymon Bardy. Na twarzy każdego z członków rodziny Bardy widać ten sam rys rodzinny, wysokie czoło, wielkie, ciemne, wymowne niebieskie oczy pod gęstymi brwiami.

\* \* \*

Trzynastu osób siedziało koło stołu.

— Dziwna rzecz — rzekł ktoś z rodziny — jest nas tu trzynastu.

Małe niemowlę dopiero pierwszy raz posadzono do stołu.

— Ktoś z nas umrze — rzekła staruszka drzącym, zgnękanym głosem, w którym się przebiła silne, poważne przekonanie.

— Oh, niema nas tyle — odezwała się żywo młoda kobieta — tylko półtrzynasta, wszak tego malca i na kolei biorą za połowę. I przytuliła dziecko do piersi.

Zaśmiało się kilku na ten dowcip. Mąż jej śmiał się aż do łez, śmiały się bliźnięta, na twarzy jasnej dziewczynki ukazał się rumieniec, Herkules śmiał się całą gębą, młodzieniec na końcu stołu uśmiechnął się szyderczo z zaboru, a nawet na twarzy kaleki ukazał się jakiś spóźniony, skrzywiony uśmiech...

Żeby im wtedy był kto powiedział:

„Dziś trzynastu was przy stole. Wiosna teraz i dopiero zaczyna się zielenić drzewa. Kiedy ostatnie liście spadną z tych drzew, z was trzynastu nie będzie żył ani jeden”.

Żeby to im był kto powiedział wtedy.

\* \* \*

Liście z drzew zaczęły opadać.

W jednej z komnat pałacu Bardy widzimy owego słusznego arystokratę ze synem, owym dwudziestoletnim młodzieńcem.

Ojciec gwałtownie przechadza się po komnacie, syn stoi w oknie w mundurze wojskowym. Siwy dolman z czerwonymi sznurami, czerwone czako z trójkolorową kłitą trzyma w rękach, przy boku błyszcząca stalowa szabla. Takim był uniform huzarów Macieja.

Syn przybył pożegnać się z ojcem, nim stanie do walki. Wbrew woli ojca wstąpił w Klausemburgu do ochotniczej jazdy, ojciec żywo chodzi po pokoju.

— Idź — czempredzej, żebym cię nie widział — ozwał się przerywanym głosem do stojącego syna. — Nie myśl, że się gniewam, boję się o ciebie, myśląc o tobie, tracę zmysły. Jesteś moim jedynakiem. Możesz wiedzieć, ile nadziei przywiązywałem do ciebie, wiesz, jak cię kocham. Ale ujrawszy łzy w moich oczach, nie myśl, że one za tobą zjawily się na tej twarzy, która nie płakała nigdy. Bo gdybym wiedział, że to największym będzie dla mnie ciosem, że ty zginięsz, rzekłbym, pochylając głowę: „Bóg dał, Bóg wzięł, niech imię jego będzie pochwalonem”. Gdybym wiedział, że ty i szaleni twoi towarzysze zostaniecie rozstrzelanymi, stłumiłbym łzę, zjawiającą się na ugaszenie ognia płonących oczu, ale krew wasza będzie przekleństwem tej ziemi, na którą się wyleje! Śmierć wasza będzie śmiercią dwóch krajów”.

— Umrą i odrodzą się znowu.

— Kłamstwo. Łudziacie się sami, że odbudujecie, niszcząc dawne. Świętokradzcy, kto was upoważnił kuś Boga losom ojczyzny? Kto wam kazał odrzucić to, co posiadacie, w zamian za to, czego się dopiero spodziewacie. Czyż bez przyczyny walczyło tyle uczciwych i śmiałych ludzi przez setki lat o ten stary, upadający budynek? czyż nie byli oni dobrymi synami ojczyzny, nie byli śmiałymi, walecznymi ludźmi? Czy towarzysze twoi, wygwiszując na sejmie troskliwego patriotę, lepiej kochają moją ojczyznę, niż my, którzy z pokolenia w pokolenie ofiarowaliśmy jej krew i majątek nasz, a nawet jeśli trzeba było, znosiliśmy hańbę, byle utrzymać ją przy życiu. Chorował w naszych rękach naród, ale żył, wy obiecujecie mu sławę, lecz imię tej sławy: „śmierć”.

— Być może. Dla siebie możemy stracić ojczyznę, lecz natomiast damy ją ludności dziesięciomilionowej, narodowi, który dotychczas był naszym, a przecież cudzym na ziemi ojczystej.

— Marzenie. Lud ten nie pojmuje was i to nie może być inaczej. Nie śniło mu się nigdy o tem, czem wy go chcecie obdarować. Po wytrwałości dobrobytu jest tem, czego ludowi potrzeba. Zapytaj pierwszego z moich poddanych, czy między nimi jest choć jeden, którego bym zostawił o głódzie, lub dał zmarnieć jego rodzinie, któremu bym nie dopomagał w potrzebie, lub był niesprawiedliwym? Nie usłyszysz ani jednej skargi. Wtedy powiedz, że nieprawnie z nim postępujesz, bo go nie wzywam od pluga i nie pytam o zdanie w sprawach ustawodawstwa, konstytucji i administracji. Będzie się patrzeć na ciebie ze zdziwieniem, ale być może, że jednej nocy napadnie mię ze złością i zapali mi dach nad głową.

— Przewrotność naszego wieku jest tego przyczyną. Że lud nie przychodzi do pojęcia wyższych myśli, to temu i błędy zeszłych wieków winny. Niech tylko lud będzie wolnym, niech się stanie człowiekiem jak inny, wtedy zrozumie te myśli, których dziś pojąć nie może.

— Lecz ta wolność pozbawi sto tysięcy ludzi życia.

\*) Odnosi się to do powstania węgierskiego 1848 roku.

(Ciąg dalszy nastąpi).